

Rodzina chrześcijańska

Pisemko poświęcone sprawom religijnym, nauce i zabawie.

Wychodzi raz na tydzień w Niedzielę.

Bezpłatny dodatek do „Górnoślązaka” i „Straży nad Odrą”.

Na niedzielę pierwszą po Świątkach.

Lekcja

z pierwszego listu św. Jana 4, 8—21.

Najmilsi, Bóg jest miłość. W tem się okazała miłość Boża w nas, iż Syna swego jednorodzonego posłał Bóg na świat, abyśmy żyli przezeń. W tem jest miłość, nie jakobyśmy my umiłowali Boga, ale iż on pierwszej umiłował nas, i posłał Syna swego ubłaganiem za grzechy nasze. Najmilsi, jeśli nas Bóg tak umiłował, i myśmy powinni jeden drugiego miłować. Boga żaden nigdy nie widział. Jeżeli się miłujemy zobopólnie, Bóg w nas mieszka, a miłość Jego doskonała jest w nas. Przez to poznawamy, iż w Nim mieszkamy, a On w nas, iż z Ducha swego nam dał. A myśmy widzieli i świadczymy, iż Ojciec posłał Syna Swego Zbawicielem świata. Ktobykolwiek wyznał, iż Jezus jest Syn Boży, Bóg w nim mieszka, a on w Bogu. I myśmy poznali, i uwierzyli miłości, którą Bóg ma w nas. Bóg jest miłość, a kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka, a Bóg w nim. W tem wykonana jest miłość z nami, abyśmy ufnosć mieli w dzień sądny, iż jako on jest, i my jesteśmy na tym świecie. W bojaźni nie masz miłości, ale miłość doskonała precz wyrzuca bojaźń, bo bojaźń ma utrapienie; a kto się boi, nie jest doskonały w miłości. My tedy miłujemy Boga, iż Bóg nas pierwszej umiłował. Jesliby kto rzekł, iż miłuje Boga, a brata by swego nienawidził, kłamcą jest. Albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, Boga, którego nie widzi, jako może miłować? A to rozkazanie mamy od Boga, aby który miłuje Boga, miłował i brata swego.

Ewangelia u św. Łukasza

6, 36—42.

W on czas rzekł Jezus uczniom swoim: Bądźcie miłosierni, jako i Ojciec wasz miłosierny jest. Nie sądzicie, a nie będziecie sądzeni. Nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni. Opuuszczajcie, a będzie wam odpuszczono. Dawajcie, a będzie wam daño, miarę dobrą i natłoczoną, i przetrzęsioną, i opływającą dadzą na łono wasze. Bo tąż miarą, którą mierzycie, będzie wam odmierzono. I powiedział im i podobieństwo: Ażali może ślepy ślepego prowadzić? czyż nie obydwaj w dół wpadają? Nie jesteście uczeń nad mistrza, lecz doskonały każdy będzie, będzie

jako mistrz jego. A cóż widzisz żdźbło w oku brata twego, a tramu, który jest w oku twojem nie baczysz? Albo jako możesz rzec bratu twemu: Bracie, dopuść, że wyrzucę żdźbło z oka twego, sam tramu w oku twem nie bacząc? Obludniku, wyrzuć pierwszej tram z oka twego, a tedy przejrzyś, abyś wyjął żdźbło z oka brata twego.

Na uroczystość Bożego Ciała.

Lekcja

z pierwszego listu św. Pawła do Korynt., 11. 23—32.

Bracia! albowiem ja wzięłem od Pana, com też wam podał, iż Pan Jezus nocy, której był wydan, wziął chleb, a dzięki uczyniwszy łamał i rzekł: Bierzcie, a jedzcie; to jest ciało moje, które za was będzie wydane, to czyńcie na moją pamiątkę. Także i kielich po wieczerzy, mówiąc: Ten kielich nowy testament jest we krwi mojej; to czyńcie, ilekroć pić będziecie, na pamiątkę moją. Albowiem ilekroć będziecie ten chleb jedli, i kielich pili, śmierć Pańską będziecie opowiadać, aż przyjdzie. A tak ktobykolwiek jadł ten chleb, albo pił kielich Pański niegodnie, będzie winien Ciała i Krwi Pańskiej. Niechajże doświadczy samego siebie człowiek; a tak niech je z chleba tego, i z kielicha pije. Albowiem który je i pije niegodnie, sąd sobie je i pije, nie rozsądzając Ciała Pańskiego.

Ewangelia u św. Jana

6, 56—59.

W on czas mówił Jezus rzeszom Żydowskim: Ciało moje prawdziwie jest pokarm, a krew moja prawdziwie jest napój. Kto pożywa mego ciała, a pije moją Krew, we mnie mieszka, a ja w nim. Jako mię posłał żyjący Ojciec, i ja żyję dla Ojca; a kto mnie pożywa, i on żyć będzie dla mnie. Ten jest chleb, który z nieba zstąpił. Nie jako ojcowie wasi jedli mannę i pomarli. Kto pożywa tego chleba żyć będzie na wieki.



Czwarte przykazanie Boskie.

(Dokończenie).

Obowiązki względem przełożonych. Duchowni przełożeni są to kapłani, mający pieczęć o duszy naszej, ojcowie nasi w porządku nadprzyrodzonym, zastępcy Pana Jezusa. Nimi gardzić, znaczy gardzić samym Zbawicielem świata, jak to już było wykazane.

Jak Bóg już w tem życiu wynagradza cześć okazywaną kapłanom, okazuje następujące zdarzenie z życia Jana Sobieskiego, wielkiego naszego króla i bohatera. Za młodu pobierał on nauki w akademii krakowskiej, gdzie jednym z nauczycieli był ksiądz Dąbrowski, mąż uczony i świętobliwy. Przypadek zdarzył, że raz, gdy ks. Dąbrowski stał na katedrze, spadła mu z głowy czapeczka, zwana biretem. Żaden z bliżej siedzących chłopców nie schylił się po czapczkę, śmiech nawet tłumili, co widząc, Jan Sobieski podniósł ją i oddał z uszanowaniem nauczycielowi. »Niech ci błogosławi Bóg wszechmogący — rzekł rozczulony profesor — za to, że uszanowałeś nauczyciela i starszą osobę«. A po chwili dodał w proroczym jakoby duchu: »Nie umrę, dopóki nie ujrzę korony na twojej głowie«. — Przepowiednia spełniła się w istocie; Jan Sobieski, wsławiony licznymi zwycięstwami, został przez wdzięczny naród ogłoszony królem, a gdy r. 1683 na wezwanie Ojca św. spieszył pod Wiedeń przeciw Turkom, przechodząc przez Kraków, odwiedził starego swego profesora. Rozpłakał się starzec na widok króla i zawołał w natchnieniu: »Królu i panie mój, nie wstydzileś się niegdyś podnieść z ziemi mego biretu, a oto Bóg łaskawy królewską koroną ozdobił twe czoło. I teraz nie zapomniałeś o schorzałym starcu, a oto za pomocą Bożą zwyciężysz Turków, ocalisz chrześcijaństwo, a imię twoje najpóźniejsze pokolenia z wdzięcznością wspominają będą«.

Przełożeni świeccy. Prócz duchownych mamy jeszcze świeckich przełożonych, którym żeśmy winni są posłuszeństwo jeżeli to jest na dobro Bogu i ludzkości jakoteż i nam co od nas wymagają. »Słudzy, bądźcie poddani Panom we wszystkiej bojaźni, nie tylko dobrym i skromnym, ale też i przykrym«. (Piotr II, 18). »Cokolwiek czynicie, z serca czyńcie jako Panu, a nie ludziom, wiedząc, iż od Pana weźmiecie odpłatę dziedzictwa« (Kol. III, 24) — mówi Pismo św. Dobry sługa, albo uczeń zjedna sobie wkrótce poważanie i względy pana swego i dobrze mu z tem będzie. Słudzy winni mieć staranie o majątności pana swego, nie marnować, a tem mniej przywłaszczać sobie najdrobniejszej rzeczy; nie rozpowiadać o tem, co się dzieje w domu pana, być mu życzliwym, a w pracy nie opieszałym.

Niestety, na świecie napotykamy zbyt często majstrów i panów, nakłaniających do złego podwładnych swoich. Każdy, ktokolwiek znalazłby się w gorszym domu i był narażony na niebezpieczeństwo grzechu, ma święty obowiązek oprzeć się energicznie wszelkim złym namowom, a nawet rozkazom, i służbę coprędzej porzucić. Raczej umrzeć, niż zgrzeszyć. Nad cnotę i niewinność niema nic cenniejszego; by zachować ten skarb drogocenny, każdej chwili powinniśmy być gotowymi na przesładowanie i sztyderstwo, a utratę służby, na głód nawet. Niech zachętą dla wszystkich będzie przykład cnotliwego Józefa, który za to, iż nie chciał słuchać niecnym namów żony Putyfara, pana swego, został wrzucony do straszliwego więzienia. Ale Bóg wkrótce

go stamtąd wybawił i uczynił go przełożonym nad całym Egiptem, pierwszym po królu Faraonie.

Obowiązki przełożonych względem podwładnych. Wszyscy przełożeni, czy to panowie, czy majstrzy, powinni odznaczać się przede wszystkim dobrocią i wyrozumiałością, powinni obchodzić się z podwładnymi tak, jakby chcieli aby się z nimi obchodzono, w razie gdyby się znajdowali na ich miejscu, według owych pięknych słów Pana Jezusa: »Cokolwiek chcecie, aby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie«...

Przełożeni powinni podwładnych swoich nakłaniać słowem i przykładem do życia chrześcijańskiego, dawać im nie tylko wszelką możność wykonywania obowiązków Wiary świętej, ale nadto czuwać nad ich wypełnianiem. Znajdą w tem panowie własną korzyść: bojący się Boga lepiej służyć im będą od tych, którzy obawiają się tylko kija, lub więzienia.

Przełożeni obowiązani są czeladzi swojej dawać dostatecznie wyżywienie, zasługi odpowiednie pracy, a w razie choroby mieć o nich troskliwe staranie. Nagrodą dobrych panów są zazwyczaj dobrzy słudzy, którzy przez wdzięczność i przywiązanie przełożonym swoim służą przez długie lata wiernie i ochotnie.

Obowiązki rodziców względem dzieci są wielkie i święte; rodzice, zaniedbujący je, grzeszą ciężko i stają się uczestnikami grzechów swych dzieci i przyczyną ich potępienia. Przedewszystkiem mają wychowywać dzieci swe dla Boga i szczęśliwej wieczności, a w tym celu starać się o oświecenie ich i utwierdzenie w religii katolickiej.

Już św. Jan Chryzostom mówił do rodziców: »Jesteście Apostołami dzieci waszych. Wasz dom jest waszym kościołem. Jeśli my kapłani mamy pieczęć o duszach waszych, a z pieczy tej zdamy rachunek przed Sędzią najwyższym, o ileż więcej starać się powinniście o dusze dzieci waszych wy, którym one powierzone zostały w szczególny sposób od pierwszego dnia życia na ziemi, abyście mogli lepiej nimi pokierować«.

»Synu mój — mówiła Blanka z Kastylji do św. Ludwika, przyszłego króla Francji — kocham cię nad życie, wołałabym jednak widzieć cię na marach, niż gdybyś miał popełnić choćby jeden grzech śmiertelny«. Te słowa bogobojnej królowej powtarzają odtąd matki chrześcianki, prawdziwie miłujące swe dzieci, powtarzają je nawet, choć z rozdartem sercem, przy trumnie ukochanych dzieci, wiedząc bowiem, że niewinność duszy, odkupionej krwią Chrystusową, jest droższą nad skarby całego świata, a szczęściem jedynie prawdziwem — osiągnięcie zbawienia wiecznego.

Chrześcijańskie wychowanie dzieci jest zatem najważniejszym obowiązkiem rodziców, zależy od tego ich własne i dzieci ich szczęście w tem i w przyszłym życiu.

Najpewniejszym sposobem dobrego wychowania dzieci jest dawanie im zbawiennego przykładu. »Jaki ojciec, taki syn, jaka matka, taka córka« — mówią zazwyczaj ludzie. Postępowanie bowiem rodziców jest niejako księgą otwartą, z której dzieci uczyc się nie przestają, i zwierciadłem domu całego. Pamiętając o tem, rodzice powinni nie tylko wystrzegać się grzechów ciężkich, ale nadto pilnie wypełniać wszystkie obowiązki chrześcianina i, o ile podobna, dobrze czynić. »Niedaleko pada jabłko od jabłoni« — słusznie mówi przysłowie staropolskie. Znana jest rzeczka, że prawie wszyscy Święci i wielcy mężowie mieli cnotliwe i bogobojne matki, które od lat najmłodszych słowem i przykładem uczyły ich wiernie służyć Bogu i Ojczyźnie.

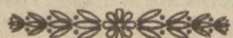
Wykształcenie i karcenie dzieci. Obowiązkiem rodziców jest dalej przyzwyczajanie dzieci z wczesnego do pracy i zapewnienie im przyszłości przez zachowanie majątku i wykształcenie ich w zawodzie, któryby im później dał utrzymanie. Wybór rzemiosła jest nader ważną rzeczą, a niemniej wybór majstra i pana, do którego dzieci zostaną oddane czy na naukę, czy na służbę. Rodzice powinni pilnie baczyć i dowiadywać się, by nie powierzać dzieci ludziom bezbożnym, albo złych obyczajów, u których Wiara ich i niewinność byłyby wystawione na niebezpieczeństwo.

Jednym z obowiązków rodziców jest także karcenie dzieci. Dzieci zarówno jak młode drzewo, aby prosto wyrosnąć, potrzebują ciągłego krzesania i prostowania. »Kto nie karci dzieci, gdy kradną jaja — mówi św. Piotr Damian — ten zobaczy je wkrótce kradnące konie; mały złodziej staje się wielkim«. A Pismo św. uczy nas: »Nie odejmuj od dziecięcia karność, bo jeśli je obijesz różgą, nie umrze; ty je obijesz różgą, a duszę jego z piekła wybawisz«. (Przyp. XXIII, 13—14). Kto zatem miłuje prawdziwie dzieci swoje, nie będzie dogadzał ich namiętnościom, ale skarci surowo każde przewinienie.

Wzorem dobrej matki może być dla nas Elżbieta, królowa polska, żona Kazimierza Jagiełły. Obdarzona od Boga trzynastorgiem dzieci, całe swe życie poświęciła ich wychowaniu, dobierając sobie do pomocy uczonych i świętobliwych mężów, jak ks. Długosza i św. Jana Kantego. Dzieci swe, choć na królewskim zrodzone dworze, strzegła od wszelkich zbytków, przyzwyczajała do ciągłej pracy, do niewygód, prostej strawy i skromnego odzienia, a w razie przewinienia nie kazała im szczędzić i kary cielesnej. Nic też dziwnego, że synowie jej, tak wychowani, przez całe życie jaśnieli miłością względem Boga i ludzi; czterech z nich, zasiadłszy na tronie, stało się jego ozdobą, a św. Kazimierz w młodocianym wieku dosłużył się najwyższej, bo niebieskiej korony.

Przykład.

Za dowód, jak Pan Bóg już w tem życiu wynagradza dzieci, miłujące rodziców swoich, służyć może następujący przykład z życia św. Piotra Damiana. Małym dzieckiem straciwszy rodziców, a od wszystkich opuszczony, biedny sierota w ciężkiej pozostawał służbie, cierpiąc głód, zimno i wszelkiego rodzaju udręczenia. Aż dnia pewnego, zrzędzeniem Opatrzności, znalazł na swej drodze talara, który był całym skarbem w jego niedoli. Ale cóż za niego kupi: czy chleba dla zaspokojenia głodu? czy odzienie, któreby go chroniło od zimna? Nie, dobry syn zapomina o sobie, myśli tylko o zmarłych rodzicach, a chcąc dać im dowód swej miłości i duszom ich ulgę przynieść, cały swój skarb przeznacza na zakupienie Mszy św. Piękny ten uczynek miłym był Bogu, który, nagradzając miłość synowską biednego sieroty, zlał na niego łaskę swą i błogosławieństwo. Położenie polepszyło się, mógł oddawać się naukom, w których niezwykle robił postępy. Wyświęcony na księdza, zasłynął mądrością, cnotą i rozważą, tak, że wkrótce uznano go godnym biskupiego dostojęstwa. Mianowany później kardynałem, umarł w 85 roku życia, pełen cnót i zasług.



Dąbrówka i Wszebór.

Opowiadanie z czasów Mieczysława I.

Mieczysław, książę polski, pragnął przyspieszyć rozszerzenie wiary, postanowił zwiedzić kraj cały i wybrał się niezwłocznie na tę ważną wyprawę. Małżonka zaś jego Dąbrówka, zostawszy samą w zamku gnieźnieńskim, poświęciła życie na niesienie pomocy chorym i nieszczęśliwym. Ta pani, pełna cnót chrześcijańskich, często niepomna na swą dostojność królewską, okryta skromną odzieżą, w towarzystwie jednej tylko służebnej zwiedzała najodludniejsze miejsca, schronienia nędzy i niedostatku, niosąc wsparcie, pociechę, a zarazem rzucając światło boskiej nauki w serce nieprzeniknione nią jeszcze.

Pewnego razu, gdy słońce miało się już ku zachodowi, dwie niewiasty grubemi okryte sukniemi, przeszedłszy całe miasto, przebrnęły z trudnością błotnistą kałużę i udały się do chaty na uboczu stojącej. W tej chacie, która na owe wieki należała do zamożnej rodziny, leżała chora staruszka na łożu ze skór wilczych usłanem; opodal siedział człowiek sędziwy i co chwila podawał jej jakieś pokrzepiające napoje; był to jeden z kapłanów z księżną do Polski przybyłych. Chorą kobietą była Dobrogniewa, wdowa po znanym rycerzu, poległym na polu bitwy w czasie zaciętej walki z Niemcami usiłującymi ujarzmić Polskę pod pozorem wprowadzenia do niej chrześcijańskiej religii. Ostatnią jej pociechą był syn jedyny, dzielny i nieugiętej woli młodzieniec, zagorzały obrońca pogańskiej swych praojców wiary. Jego to Dobrogniewa z mężstwem, którem dawne Polki słynęły, wyprawiła na boje; lecz gdy monarcha i mężne rycerstwo powróciło, a Wszebór nie przybywał, była pewną, że równie jako ojciec poległ od niemieckiego oręża. Ciągłą boleścią i niepokojem miotana, w ciężką niemoc zapadła. Księżna polska, będąc aniołem opiekuńczym wszystkich nieszczęśliwych, i do chaty Dobrogniewy niosła ratunek i pociechę; a nie będąc od niej znaną zupełnie, oszczędzała staruszce kłopotu, jakimby ją były nabażyły odwiedziny tak dastójnej osoby.

Gdy weszły niewiasty i pozdrowiły przytomnych słowem chrześcijańskim, jedna z nich, przybliżywszy się do łoża chorej, zapytała słodkim głosem:

— Jakże się macie, sędziwa Dobrogniewo?

— Lepiej mi, — odrzekła. — Wam to i waszej pani, która was tu przysyła, winną jestem moje ocalenie i to uspokojenie ducha.

— Nie nam, ale temu Bogu, w którego uwierzyłaś. On to w swoim miłosierdziu dodał ci mężtwą w smutku, powraca zdrowie, a może i pociechę ześle, pozwalając oglądać syua.

— Oby się twe słowa spełniły — zawołała staruszka, składając ręce do modlitwy. W tej chwili zgłęb wielki dał się słyszeć przed chatą, drzwi się rozwarły i młodzian dorodny, otoczony gronem przyjaciół, wpadł do izby. Był to Wszebór, syn Dobrogniewy. Nie uważając na krzyk radości matki, groźnie zawołał, wnosząc topór do góry:

— Kto śmiał namówić matkę moją do przyjęcia obcej wiary?

Jedna z niewiast odezwiała się spokojnie:

— Nas to Bóg obrał za narzędzie swej łaski.

— Więc to wy nieszczęsne powyrzucałyście bogów naszych?

— Zabić je! — wołali towarzysze Wszebora. On już miał cios wymierzyć, gdy Dobrogniewa przerażona, rzucając się pomiędzy syna i niewiasty, zawołała:

— Stój, one mi życie ocaliły... a przytem masz-
ze oręż swój zbroczyć we krwi bezbronnych pod
własnym dachem?

Wszebór opuścił prawicę i wyrzekł nieco spo-
kojniej:

— Prawdę powiedziałaś, matko: w chacie Pola-
ka najzaciętszy wróg jego może być bezpiecznym;
ale poczekajcie, - dodał groźniej... — Zemsta moja
dosięgne was jeszcze! A zerwawszy ze ściany wize-
runek Zbawiciela, wyrzucił go za odchodzącemi.

Niedługo potem wielki ruch panował na dworze
Mieczysława: księżę powrócił z wyprawy; wielu
ludzi zbiegło się, jedni aby długo niewidzianego
zobaczyć monarchę, drudzy aby powitać krewnych
będących w jego orszaku. Długo na zamku ocze-
kiwali Mie-

czysława
znakomitsi
panowie,
radząc o
sprawach
kraju. Oko-
ło południa
dwóch pa-
chołków
ogłosiło, że
książę sam
będzie nie-
które spra-
wy sądził;
otwarto
podwoje,
a tłum cały
z dziedziń-
ca wszedł
do zamku.
W najwię-
kszej izbie,
na wywyż-
szonem
krześle sie-
dział ksią-
żę polski, wy-
mierzając
sprawiedli-
wość. Po
niejakim
czasie z po-
śród zgro-
madzo-

nych wystąpił mąż poważny, a wskazując ręką na
środek komnaty, rzekł:

— Oto panie, ten Wszebór z Lasoty na opierał
się twoim rozkazom, nie pozwalając niszczyć bał-
wanów, a powróciwszy do domu i zastawszy matkę
swoją chrześcianką, zamiast iść za jej przykładem,
znieważył krzyż Pański, wyrzucając go z domu,
a w jego miejsce umieścił swe bóstwo pogańskie.

Głosy oburzenia ze wszech stron słyszeć
się dały:

— Wypędzić go z kraju! Śmiercią ukarać: —
wołali zapaleni wyznawcy świętej wiary. Mieczysław
powstawszy ze swego krzesła, groźnie zapytał:

— Wszebórze! czy uznajesz się winnym tego
oskarżenia, które na ciebie dowódzca mej straży
zanosi?

— Uznaję — odpowiedział śmiało Wszebór;
lecz gdy w tłumie spostrzegł matkę, słabą jeszcze
Dobrogniewę, która swojemi prozbami usiłowała
łagodzić okropne wyroki, wydawane na jej syna,
spuścił oczy; ksią-żę zaś tak dalek mówił:

—*Teraz, nie chcę być sędzią w mej sprawie,
wam ją panowie oddaję, gdyż ten sam Wszebór
z Lasoty na podniósł zbrodniczą rękę na małżonkę
naszą, a waszą księżnę.

Tu urzędnik książęcy opowiedział szczegóły
zdarzenia zaszłego w chacie Wszebóra, a wtedy
oburzenie stało się powszechnem. Dobrogniewa zaś,
widząc, że jej błagania wśród takiego hałasu nie
są nawet słyszane, w rozpacz i w obawie utraty
syna, gdy go zaledwie odzyskała, jako chrześcianka
padła na kolana i prosiła Boga, aby jej syna ocalił.

Wtem z przyległej komnaty wyszła szlachetna
Dąbrówka, w towarzystwie kilku niewiast, ubrana
w bieli z wiankiem przyłaszczyków na skroniach,
a przesuwając się szybkim krokiem pomiędzy roz-

stepują-
cym się tłu-
mem, sta-
nęła przed
krzesłem
księcia i
rzekła:

— Daruj
panie, że
niewiezwa-
na przy-
chodzę; ale
moją tu są-
dzas sprawę,
chciała-
bym jej być
przytomną.
Najpierw
błagam
mego mał-
żonka i pa-
na o prze-
baczenie
dla Wsze-
bora.

— Nie!
tego uczy-
nić nie mo-
gę, — od-
parł ksią-
żę, a radni pa-
nowie
przyłączyli
się do zda-
nia Mieczy-



Procesya w Boże Ciało.

slawa, przedstawiając Dąbrówkę, jak szkodliwe
skutki mogłyby wynikać z takiego pobłażania.

Wspaniałomyślna księżna odpowiedziała:

— Pomnijmy, że jesteśmy chrześcianami, i prze-
konajmy Wszebora, że jeżeli jego bogi są niezgód
i klótni przyczyną, to nasz przeciwnie jest Bogiem
spokoju i przebaczenia.

Na te słowa ucichła wrzawa, a Dąbrówka, kiedy
ksią-żę, nigdy nie odmawiający prozbom książniczki,
uległ i teraz jej wstawiennictwu, postąpiwszy ku
Wszebórowi, rzekła:

— Jesteś wolny!

Dobrogniewa ścisłała kolana księżnej, oblewając
je łzami wdzięczności. Wszebór, przed chwilą tak
dumny, upokorzył się, a ukląwszy przed monarchiną,
błagał o przebaczenie winy.

Wkrótce potem zacięty bałwochwalca Wszebór
z Lasoty na przemienił się w najgorliwszego wyznawcę
wiary świętej, sam jej nauczał i z największą tro-
skliwością rozszerzał w narodzie. Czego surowe
rozkazy i siła zbrojna uczynić nie zdołały edno

słowo Chrześcijańskiego przebaczenia dokazało z ławością.

Przytaczamy tu piękny wiersz S. Duchinińskiej o przyjeździe Dąbrowki z Czech do Gniezna.

Przyjazd Dąbrowki do Polski.

Do reszty słonko strząsało się z chmury,
Orszak się zbliża pod Gniezna mury,
Konna drużyna po przedzie kroczy,
Od dzid i zbroi blask bije w oczy.
To straż lechicka, a za nią dalej
W ciężkich pancerzach, w hełmach ze stali,
Mężowie słynni w bojach i w radzie
Wiodą kwiat cudny, co w Wyszehradzie
Urosł na radość niebu i ziemi.
Dalej odziani szaty długimi
Jadą biskupi; z głębin ich ducha
Żar apostolski przez oczy bucha,
Z piersi połyska krzyż Chrystusowy.
Na skon męczeński zastęp gotowy,
Byle, skropione krwią ich ofiarną,
Z posiewu Boże wyrosło ziarno.
Bracia zakonni dążą ich śladem,
Odziani w kaptur, z obliczem bladym.

Przeszli biskupi, przeciągły mnichy,
Czy anioł z nieba zstąpił cichy?
Cóż to za postać bieluchna sunie?
Na śnieżno-białym rączym biegunie?
Przejrzysty rąbek ogarnął całą
Ową lilijkę, wiotką i białą.
Brzaskiem jutrzienki płoń jej lica,
W orszaku matron cudna dziewica
Pomiędzy dzikie spieszy pogany,
Niesie im promień światła nieznany,
O nic nie pyta, nic się nie trwoży,
Dość jej, że rozkaz wypełnia Boży.
Spiesz Dąbrowka z książęcym dworem;
W ślad za nią wozy ciągną taborem,
Szereg ich długi w przestrzeni ginie,
Na nich żelazem okute skrzynie.
W skrzyniach królowy posag bogaty:
Drogie bisiory, cenne bławaty,
Setki rubinów, perel tysiące,
I dyamenty słońcem błyszczące,
Wschodnie kobierce, złociste czary.
Bez miary srebra, złota bez miary,
Jak piasku w morzu, jak gwiazd na niebie!
Czyż się w tem złocie księżna zagrzebie?
O, takich ponęt Dąbrowka nie zna!
Nie po to rąco zdąża do Gniezna,
Aby przepychem dla próżnej dumy
Do hołdu zmusić olśnione tłumy.

Orszak się zbliża pod bramy grodu, —
Z miasta wyległy tłumy narodu,
Książę Mieczysław w drużyny kole,
Jakby go skrzydła niosły sokole,
Ku swej królewskiej pomknął dziewoi.
Słońce w złocistej iskrzy się zbroi,
Radość mu wielka przez oczy błyska,
Gdy na Dąbrowkę popatrzy z bliska.
Przystąpił, rączkę pochwycił białą:
— »Chceszli być moją?« — spyta nieśmiało.
— Tak, na ramieniu wesprę się twojem,
»Kiedy obmyty chrztu świętym zdrojem
»Otworzysz serce na Boże słowo,
»Pod krzyżem w ziemię uderzysz głową.«
A książę na to: »Bądźże mnie pewną,
»Bóg twój mym Bogiem, miła królowo!«

Nad Polską wschodzi blask nowej zórzcy;
Siew apostołów wydał plon Boży,
Z gruzów kontyny starej Pośwista
Wyrasta w górę wieża strzelista;
Z niej krzyż złotem błysnął ramiony,
A z wieży biją spiżowe dzwony.
Naród się z Polski gromadzi całej,
Od Warty, Gopła, od Wisły białej
Zaległ pod Gniezmem łąk przestrzeń długa,
Gdzie woda bieży kryniczną strugą.
Książę Mieczysław klęczy na przedzie;
Ojciec do krzyża swe dziatki wiedzie;
Biskup mu wodę polał na czoło,
W oczach mu jasno, w duszy wesoło.
Widzi lub korny w śnieżystej bieli,
Ponad nim chóry pieją anieli,
W krąg po przestrzeni pieśń ich rozbrzmiała:
Raduj się Polsko! chwała ci, chwała!

Do Carskiego Sioła.

Dzień był jasny, mroźny — słońce świeciło
jaskrawo, a na cotylko spadłym śniegu migotały ty-
siące błyszczących gwiazdeczek.

W ważnym interesie musiałem się udać do war-
sztatów Putyłowskich... a było to w jakiś czas po
krwawych zajściach w Petersburgu, w dniu dwudzie-
stego drugiego stycznia.

Minąłem most Troicki i skręciłem w dzielnicę
robotniczą.

Na wylocie jednej z uliczek zobaczyłem dziwną
parę: dwoje staruszków, mężczyznę i kobietę. Oboje
byli biali jak gołąbki, oboje drżący, jak liść osiki.
Trzymali się za ręce, mężczyzna wolną ręką pod-
pierał się laską. Szli drobnymi kroczkami, bardzo
pracowicie, mało się naprzód posuwając.

Przystanąłem, bo litość wzięła mnie na te dwie
starości wśród mrozu, zimna... bez opieki. I oni
przystanęli — nie wiem, czy spostrzegłszy mnie, czy
też chcąc odpocząć.

— Cóż to was wypędziło z izby i od ciepłego
pieca w to zimno?... zagadnąłem ich.

— A... panie!... Pieca ciepłego nie mamy i jeść
co nie mamy... a zarobić sobie nie możemy, bośmy
tacy starzy...

— Jakto?!... Nie macie nikogo, coby na was
pracował?...

— A nie mamy, panie nie mamy... potem do-
dał smutno: Mieliśmy — aleśmy wszystkich oddali
carowi.

Krocząc wolno przed siebie, mówił urywanym
głosem:

— Dwóch poszło na daleką wojnę i — pewno
nie wróca... Najmłodszy, dobre dziecko, pamiętał
o nas bardzo... i zięć pracowali w warsztatach. Córka
nie pracowała, bo musiała nas i dziecko opatrywać.
A że nas było pięcioro, tyle, żeśmy z ich zarobku
wyżyć mogli. Na nic innego nie starczyło. Grosza
na czarną godzinę odłożyć nie było można... Nie
dziwota, że w ową niedzielę — pan już wie, w któ-
rą?... poszli do cara prosić, aby nakazał większy za-
robek...

Przystanął i popatrzył na mnie, mówiąc:

— I nie wrócili, panie... Do tej chwili nie
wrócili... A nam bieda... i nie wiemy, co ich
spotkało...

Znów jął iść dalej, a zdziwienie i zgroza drżały
w jego głosie, gdy mówił:

— Na co do nich strzelali, panie?... Przecież oni szli z prośbą, a z gołymi rękami!... Czy teraz na to jest wojsko, aby do bezbronných braci i ojców strzelało?... Po eo i na co zabijali?... Myślimy i myślimy... z dnia na dzień myślimy nad tem i zawsze nam wypada, że chyba nasze stare głowy tego nie rozumieją... Że tam, hen... daleko... na wojnie zabijają, to co innego... to obcy, cara słuchać nie chcieli. Ale tu swoi, sami swoi! Moja kobieta powiada, że to przez pomyłkę strzelali i zabijali. Prawda! U nas dużo się dzieje przez pomyłkę! Ale ludzi zabijając, umniejszać rąk do pracy jeno przez pomyłkę, to mi się wierzyć nie chce...

Chciałem coś powiedzieć, ale stary na dobre się był rozgadał; do słowa mnie nie dopuścił, dowodząc:

— Albo i to panie... Mają tam na wojnie papiery, na których podane, gdzie woda, gdzie góra, gdzie miasto, gdzie wieś, albo osada, aby wiedzieli na pewno, gdzie iść trzeba... A zdarzało się pono, że kazano im maszerować, bo tam a tam nieprzyjacieli stoi. Idą, a idą... idą ciągle dookoła, bo pono przez pomyłkę papiery źle pokazywały, a nieprzyjaciela ani zobacz... Nareszcie coś zabłyszczało, zamigotało... Składają się, mierzą i kule świszcząc padają gradem i kładą pokotem szereg za szeregiem... Jęki tedy były, panie, przeraźliwe i westchnienia śmiertelne rannych i umierających, a nasi nic, jeno nabijają i strzelają. Naraz wietrzyk, odnoszący dusze do nieba, zerwał i kłęby dymu i — co zobaczyć?... A swoich mordowali!... Swoich!... Ale nie winić ich, panie!... Jak się tak ciągle w kółko chodzi, to się w głowie zamąci, a w oczach zaćmi...

Przystanął... odetchnął, jakby coś z piersi chciał rzucić, a potem ciągnął dalej:

— Żołnierze sarkali na tę mitręgę, na chodzenie dookoła, na marnowanie naboju, strzelając do swoich. Nie długo też przyszły trzy wozy — drabiniaste, panie!... innych papierów. Ale i tu lichy pomyłki wlaźło... Drogi nie były kręte, to prawda... ale jak poszli szukać miejsca, które papiery pokazywały, to go tam wcale nie było!... I znów zaczęło się chodzenie, szukanie...

I znów przystanął.

Patrzyłem na niego zdziwiony. Skąd on to wszystko wiedział?... I on patrzył na mnie i uśmiechał się, a potem rzekł:

— Dziwicie się, panie, że stary język miele i miele, często nie do rzeczy... ale, cóż robić... to to już przywilej starości...

Zapewniłem go, że mnie to wszystko bardzo zajmuje, więc staruszek, widocznie zadowolony, mówił dalej:

— My teraz, panie, idziemy do cara, ażeby nas wspomógł, ażeby co dał, byśmy z głodu i zimna nie zmarli.

— Co wy myślicie!... Nie dopuszczą was do cara! — rzekłem.

Stary się oburzył.

— Jakto: niedopuszczą!... Dopuszczą, panie!... Car jest dobry!...

I dodał poirytowany jeszcze:

— Czyście, panie, kiedy słyszeli, aby dobry człowiek odepchnął od wrót swoich nieszczęśliwego, głodnego i tak starego biedaka, jak ja — jak ona?... Zresztą teraz łatwiej dostać się do cara... Ten stójkowy...

Zamyślił się na chwilę, a potem dodał:

— Zapomniałem jak on się zwie... daleki nasz krewniak, był u cara w tych dniach... Widział go, jadł obiad u niego, a nawet przywieźli i odwiedzi

ich — bo ich było więcej, panie — w złocistych karetach!... My tam o karety nie stoimy, bo aniby, człowiek wiedział, jak w nich siedzieć w tych łachmanach i wskazał na swoje i swej towarzyszki odzieniach — a potem to takie wysokie, że ciężko się tam dostać. Byłoby może więcej zawodu, jak pociechy, z takiej jazdy... To też pójdziemy na naszych starych nogach, które pewnie zaniosą...

— A wiecie wy, jak to daleko?...

— Zajdzie się, panie, zajdzie!...

Pomyślałem chwilę.

— Jeżeli nie stoicie o karete, to możebyście koleją pojechali, a resztę drogi do Carskiego Sioła przeszli pieszo. Tu macie pieniądze na bilety i dałem 10 rubli, mając na względzie nie udalą pielgrzymkę, w którą się z lekkomyślną wiarą udawali. Cieszyli się i dziękowali serdecznie.

Potem starzec, który w otwartej ręce trzymał pieniądze, zapytał swojej towarzyski:

— A... a może zimno?...

— Jakżeby nie!... Zimno, bardzo zimno... — odpowiedziała.

— To możebyśmy... i urwał.

Ale prędko dodał:

— To możebyśmy do domu wrócili, bo i mnie zimno i — głodno. Z tem, co tu mamy, i pokazał otrzymane pieniądze — będzie nam długo ciepło i niegłodno, a tam... — wskazując w stronę, gdzie według jego mniemania Carskie Sioło leżało — możeby nas jednak do cara nie dopuścili...

Raz jeszcze podziękowali i zawrócili, drepcząc pracowicie w stronę, z której przyszli.

Bitwy morskie dawniej a dziś.

Do połowy XIX wieku walka na morzu była stosunkowo łagodna. Gładkie działa niedaleko niosły, a pełne kule wybijały w drewnianych ścianach okrętu okrągłe, niezbyt wielkie otwory, które było można dosyć łatwo zatkać. Przeciwnicy usiłowali wtedy jak najprędzej zbliżyć się do siebie, a przybiwszy pokładem do pokładu, załoga okrętowa starała się wtargnąć na statek nieprzyjacielski. Przychodziło do ręcznej walki, przyczem obopólne straty rzadko były wielkimi. I tak n. p. w roku 1779 w czasie amerykańskiej wojny o niezależność fregata »Osa« walczyła przez 3 i pół godziny z brygiem »Frolic«, który był stroną atakującą, stracił 5 ludzi, fregata zaś 15.

Poważniejszą stała się wojna, gdy sam wiatr przestał tworzyć siłę ręczną, a rolę jego objęła prawie w zupełności para. Można już było koncentrować siły według upodobania, szybko posuwać się naprzód i równie szybko cofać, wykonywać ruchy groźne dla nieprzyjaciela, albo szukać ratunku w ucieczce. Szybkość zaczęła odgrywać ogromnie ważną rolę. Później przyszła kolej na rozmaite ulepszenia w artylerii, co znowu naprowadziło budowniczych okrętów na myśl pokrywania statków pancernymi. Bitwa pod Lissą miała już odmienne cechy. Dwie włoskie fregaty pancerne »Ancona« i »Re d'Italia« zostały najechane i poszły na dno. Cała walka trwała zaledwie godzinę, a jednak zginęło przeszło 1000 ludzi. Sądono wtedy, że taran czyli dziób odegra w przyszłych bitwach morskich rozstrzygającą rolę. Naówczas bardzo mało wiedzano jeszcze o najstraszliwszej broni, o torpedach, które dopiero podczas wojny domowej w Chili w r. 1891 zwróciły na siebie uwagę. Wtedy koło doków

w Kolbar parowiec kongresyonistów »Blanco Euclada« skutkiem wybuchu torpeda zatonął w ciągu 7 minut.

Jakże od tego czasu wszystko się zmieniło! W nowożytnych, a właściwie dopiero w ostatnich wojnach morskich, kierowanie eskadrą stało się bardzo trudnem. Olbrzymia dalekonośność dział gwin-towanych pozwala na dalekie rozciąganie się floty, co wprawdzie zmniejsza niebezpieczeństwo ze strony pocisków, ale zarazem dowodzącemu admirałowi utrudnia przegląd, a skutkiem tego również i wydawanie rozkazów. A jednak admirałowi trudniejszym stało się kierowanie walką, podobnie i dowódcy poszczególnych okrętów nie tak łatwo mogą zgodzić się z planem i zamiarami admirała brać udział w walce. Nowożytny kolos pancerny składa się z części zupełnie od siebie oddzielonych, które porozumiewają się pomiędzy sobą i z kapitanem okrętu za pomocą telegrafu i telefonu. Komendant okrętu wojennego podczas bitwy stoi w t. z. »roofie«, w opancerzowanej budce, wysoko ponad pokładem głównym. Dokoła niego stoi sztab i podaje rozkazy komendanta dalej za pomocą telegrafu i telefonu. Jeden oficer nieustannie spogląda na okręt admirałski, ażeby pochodzące stamtąd sygnały natychmiast głosić kapitanowi okrętu.

Rozpoczyna się walka. — Pociski podają ze wszech stron. Większość ich z sykiem tonie w morzu, nie wyrządzając szkody, gdyż na odległość 4 do 5 tysięcy metrów nawet największy okręt jest bardzo niepewnym celem. Statki drżą pod gwałtowną detonacją własnych dział, które artylerzyści obsługują tylko w koszu, rozpalone bowiem rury wytwarzają wprost nieznosne gorąco. Powoli zbliżają się nieprzyjacielskie floty coraz bardziej do siebie. Strzały są coraz celniejsze. Granaty padają na pokład, zasiewając go odłamkami żelaza. Ten deszcz żelazny wywołuje dokoła spustoszenie. Na dwóch pancernikach chińskich »Ting Juen« i »Chen Juen«, które podczas wojny chińsko-japońskiej przy ujściu rzeki Jalu dostały się w ogień artylerii admirała japońskiego Ito, zostało zdruzgotane wszystko, czego nie pokrywał pancerz, grubości 5 centymetrów. Nawet działa zostały rozbite, a na statku co chwila powstawał ogień. Na admirałskim statku Ito »Matuszima« wybuch dwunastocalowego granatu chińskiego rozniósł dwa działa i położył trupem 49 artylerzystów.

Przy coraz większym zbliżaniu się do siebie walczących flot nieprzyjacielskich wzrasta zarazem niebezpieczeństwo ze strony torpedów. Pierwszym wielkim okrętem, zniszczonym przez wybuch torpedu, był turecki okręt »Hiozi Rahman«, który w r. 1877 został przy ujściu Dunaju napadnięty przez flotylę torpedowców rosyjskich. Podczas bitwy torpedowce stoją poza okrętami lioniowemi swej floty i dopiero po należytem zbliżeniu się statków nieprzyjacielskich torpedowiec wysuwa się naprzód z nadzwyczajną szybkością, wyrzuca torped i cofa się natychmiast. Gdy torped jest celny, wówczas największy kolos w kilku minutach idzie na dno morskie.

Wnętrze okrętu podczas bitwy jest jakby piekłem dantejskiem. Znajdujący się tam ludzie nie wiedzą o niczem, co się dzieje na pokładzie i naokoło statku, pracują w ciągłym zdenerwowaniu, wiedząc, że w razie katastrofy niema dla nich żadnego ratunku. Ciężką zwłaszcza jest służba palaczy maszynowych. Obnażeni po pas, pracują po kolei około utrzymania ognisk pośród piekielnego gorąca. Na pokładzie szaleje bitwa, wewnątrz zaś okrętu słychać tylko głuchy odgłosy i huczenia maszyn, wobec których

maszyna pociągu pośpiesznego jest zabawką dla dzieci. Wtem okręt zadrżał w posadach. Chwila strasznego oczekiwania. Nagle okręt pochyła się gwałtownie, z pod kotłów wylatują palące się węgle, wrzająca para wypełnia przestrzeń i w straszny sposób gotuje żywe ciała ludzkie. Maszyny jęczą, okręt idzie w głąb i z wnętrza jego nikt nie może ratować się ucieczką.

Jaką klęskę poniosła flota rosyjska w bitwie pod Cuszim, ocenić można, gdy porównamy straty, poniesione w innych bitwach morskich przez walczące strony. I tak w bitwie pod Trafalgarem 31 października 1805 roku Anglicy zatopili 5 okrętów francusko-hiszpańskich, a zabrali 18. Pod Abakirem 1 sierpnia 1798 zginęło 11 okrętów francuskich, a tylko 2 zdołały umknąć. Pod Santjago de Cuba dnia 3-go lipca 1898 r. zatonięły 4 hiszpańskie okręty wojenne i 2 kontrtorpedowce. Pod Sinope admirał Nachimow zniszczył zupełnie 11 okrętów tureckich w roku 1853. Podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej w r. 1898 admirał amerykański Dewey zatopił pod Cavito 5 krążowników i 5 łodzi działowych hiszpańskich z załogą 618 ludzi. Bitwa pod Cuszim należy do największych bitew morskich, a jeżeli uwzględniemy materiał okrętowy najnowszych czasów, to była ona stanowczo największą z dotychczasowych walk morskich.

Flota rosyjska nie istnieje obecnie. Rosya była wprawdzie na morzu mocarstwem drugorzędnem, podobnie jak Niemcy, straciła atoli na morzu wszelkie znaczenie i co najmniej przez 10 lat będzie musiała czynić wysiłki, ażeby stworzyć jaką taką flotę.



Ogródki dla ludności robotniczej.

Amerykanin Irving twierdzi stanowczo, że nie-jeden człowiek dla tego jedynie oddaje się złem namiętnościom, ponieważ nie umiano go przyzwyczaić do pożytecznych, mile mu czas zajmujących czynności. Nie mając co robić, daje człowiek posłuch niezdrowym popędom, a z czasem popędy te i skłonności stają się nałogiem. Irving przytacza znamieny przykład: pewien robotnik fabryczny oddawał się nałogowi pijaństwa, i zdawało się, że jest straconym — aż pewien student odkrył u niego wielką zręczność do różnych robótek, do klejenia i sporządzenia drobnych przedmiotów, słowem jak to mówią do »majstrowania«. Skłonność tę wyzyskał, dając robotnikowi temu do wypożyczania lalki i zabawki różne, uszkodzoną porcelanę itp. Mając podstawkiem takiego zajęcia, przynoszącego mu korzyść materialną a zajmującego mu czas przyjemniej zaprzestał chodzić do gospód i z pijaczyny stał się człowiekiem trzeźwym.

Wśród naszej ludności robotniczej wiejskiej i miejskiej, »zabawianie się« po karczmach i gospodach tak bardzo niestety jest rozpowszechnionem, iż niejeden porządny człowiek, skutkiem zbyt powolnego oddawania się tej skłonności, stał się nałogowym pijakiem. Społeczeństwo nasze ma więc powód zastanawiania się nad sposobem, aby ludność naszą mniej zamożną przyzwyczaić do szukania po pracy zawodowej rozrywek nie pobudzających w niej złych skłonności do kieliszka, kart itd.

W tym celu należy przedewszystkiem wiedzieć, jakie zajęcia w chwilach wolnych od pracy najczęściej przypadają do smaku robotnikom. Otóż stwierdzono,

że wszędzie, gdzie robotnicy mieli sposobność zajmowania się po pracy zawodowej krzątaniem się około drzewek, około kwiatów i jarzyn na grzędach oddanych im do użytku, wprędce zasmakowali tak w tem zajęciu, iż pobyt w karczmie nie nęcił ich więcej. Przebywali z przyjemnością w ogrodzie swym, kopiąc, sadząc, pielęgnując rośliny. Jeden z badaczy angielskich stosunków robotniczych przytacza przykład taki: Ludność pewnej osady robotniczej w pobliżu wielkich zakładów przemysłowych znana była, osławioną szeroko i daleko z pijaństwa i swawoli. Po pracy, wieczorem, mężczyźni zabawiali się kieliszkiem, kobiety obgadywaniem sąsiadów, a dzieci, pozostawione sobie, nabywały coraz więcej narowów, sprzeciwiały się przechodniom itd. tak że ostatecznie ludność okoliczna choć przez osadą ową wypadła ich najbliższa droga pomiędzy dwiema większymi miejscowościami, wołała nadkładać drogi i omijała ową siedzibę swawoli i zgorszenia. Zarząd zakładów przemysłowych wpadł wreszcie, słysząc ciągle skargi na robotników, na pomysł szczęśliwy wydania każdemu z nich kawałka ziemi do uprawy; sprowadzono też drzewa owocowe, wysadki rozmaite i rozdzielono pomiędzy robotników, obiecując na końcu roku udzielić okazałych nagród właścicielom ogródków w najlepszym znajdującym się stanie. Z początku kobiety, chęcią zysku powodowane zaczęły się zajmować ogródkami, biorąc do pomocy dzieci, z czasem i mężczyźni, najprzód jako widzowie, a później i jako współczynnicy zaczęli przebywać w ogródkach, aż wreszcie karczma opustoszała, a ludność osady wieczory spędzała przykładnie w ogródkach, zajmując się drzewami, kwiatami i roślinami własnej uprawy i lubując się pobytem na świeżem powietrzu. Obyczaje złe ustąpiły miejsca przykładowym, a ludność okoliczna nie miała już powodu omijać osady. Podobne doświadczenia w wielu miejscach już poczyniono.

Należałoby więc wszędzie, gdzie ku temu możność istnieje, dawać robotnikom sposobność pracy na kawałku ziemi, czy to własnym, czy wydzierżawionym. W pobliżu większych miast znajduje się zawsze dość dużo placów, pod budowlę przeznaczonych, a na razie jako pastwiska itp. mało przynoszących pożytku. Place takie parcelować i robotnikom wydzierżawiać na ogródki jest dla właściciela korzystnem, a w interesie społecznym bardzo pożądanem.

Robotnik mający swój kawałek ziemi przywiązuje się do niego, zajmuje się nim skwapliwie, a przeto traci ochotę do spędzania wolnego czasu w karczmie.

W ogródku takim pracy milej, nie męczącej, zawsze dużo: to kopać i siać, to wypielać zielsko trzeba, podlewać i pielęgnować rośliny, a wreszcie zbierać owoce pracy — czas mija szybko a z pożytkiem dla kieszeni i dla zdrowia.

Obcowanie z przyrodą wywiera wpływ podnoszący na duszę robotnika, stokroć korzystniejszy, niż rozdzielanie wśród ludności rozprawek o moralności i wypowiedania jej... po restauracjach... nędznych odczytów o wstrzemięźliwości itd. Rodzina cała mając zajęcie w ogródku, trzyma się razem, a tym samym i węzły rodzinne się umacniają; kobiety nie mają czasu na plotki a dzieci widzą dobry przykład i odzwyczajają się urwiszowania po drogach i opłotkach.

Komu dobro ludności robotniczej leży na sercu, ten powinien i przemawiać i czynnie o ile możności występować zatem, aby powstawały wszędzie ogródki dla ludności robotniczej.

Przyczyniając się do tego, przyczyniamy się

w pewnej mierze do rozwiązania kwestyi społecznej. Słusznie bowiem powiedział pewien myśliciel: Dajcie robotnikowi do uprawy kawałek ziemi, a zrobicie go nie tylko zdrowym co do ciała, ale zarazem pełnym samowiedzy człowiekiem społeczeństwa.

Rozwiązanie łamigłówki z nr. 23-go:

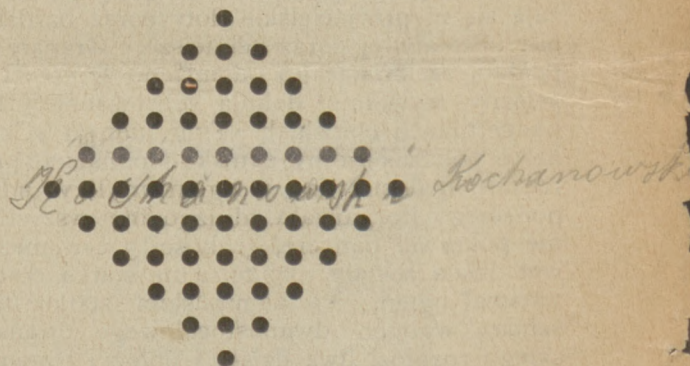
M
W o ñ
W a n d a
B o l i v i a
M o n i u s z k o
C z e s ł a w
C e z a r
O k u
o

Dobre rozwiązanie nadesłali: pp. Jan Szulc z Poznania, Robert Biskup z Król. Huty, Jarosz z Brzesców, Karolina Kuczera z Laurahuty, Ludwik Fitz z Rożdżenia, Jan Badura z Rożdżenia, Józef Knopp z St. Zabrze, Karol Cichoń z Łagiewnik.

Nagrodę otrzyma p. Jarosz z Brzesców.

Łamigłówka.

Ułożył Ludwik Kowolik z Rudy.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Nazwisko twórcy chorału polskiego, 3. Wyspa w wielkim Oceanie, 4. Stan w południowej Ameryce, 5. Miasto w Rosyi, 6. Sławny poeta polski, 7. Sławny generał polski, 8. Imię królowej polski, 9. Rzeka w Król. Polskiem, 10. Współczesny generał japoński, 11. Samogłoska.

Litery z góry na dół czytane dadzą nazwisko księcia polskiego.

Humorystyka.

Proste wyjaśnienie.

Córka bogatego rolnika, która co dopiero opuściła pensjonat, pyta:

- A ileż, stary przyjacielu, tamta biała piękna krowa (wskazuje rękę) daje mleka dziennie?
- Żadnego, panienczko.
- Co? żadnego? a to czemu?
- Bo to wół, moja panienczko.